TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Vol. 4. Nr. 3 (160) Nowy Jork, 20 stycznia — New York, 21, N. Y., January 20, 1946 Cena 20 ct.

DZIŚ W NUMERZE:

Jerzy Andrzejewski
Stanisława Kuszelewska
Janusz Laskowski
Teofil Lenartowicz
Kazimierz Wierzyński
Jan Wolny



ŻUAWI POLSCY 1863 ROKU

JAN WOLNY

JAKIE WYBORY

Rozpoczęta w Teheranie polityka wydania wschodniej połowy Europy do wyłącznej dyspozycji Rosji Sowieckiej zbliża się do formalnego i ostatecznego zakończenia. Od blisko roku ta wyłączna dyspozycja jest już wojskowym faktem dokonanym. Obecnie chodzi tylko o nadanie ogólnego obiegu formułkom, któreby ten stan rzeczy zalegalizowały i nadały mu charakter strawny dla tych resztek opinji publicznej w demobilizującym się świecie zachodnim, które jeszcze zachowały zainteresowanie polityką zagraniczną. To właśnie się w tej chwili odbywa, a raczej kończy odbywać. Już mało co pozostało do zamknięcia tej procedury likwidacyjnej. Jugosławja, Węgry, Austrja, Czechosłowacja, Finlandja, Albanja są już załatwione. Za tydzień lub dwa dojdzie do uznania pozornie zreformowanych rządów Rumunji i Bułgarji. Za tydzień lub dwa, przy dobrej okazji, rządy demokracyj zachodnich uznają aneksję państw bałtyckich przez Związek Sowiecki. Martwe, dawno przegrane pozycje polityczne zostają — nie bez ulgi — ostatecznie skreślone z bilansu, "spisane na straty". To samo pod koniec roku robi każdy bank i każde przedsiębiorstwo, odejmując od dochodu lub skreślając z kapitału należytości, których nie jest w stanie wyrewindykować, a za które odpowiedzialność spada, albo powinna spadać, na kierownictwo przedsiębiorstwa. Tę właśnie operację Ameryka i W. Brytanja robią po zakończeniu wojny i przed zawarciem pokoju. Ich polityczne "złe długi" w Europie są olbrzymie; nic dziwnego, że procedura ich likwidacji jest przewlekła.

Jak z Polską? Akt poczdamski przesądził jej losy niemal całkowicie, w tym samym kierunku spisania długu wobec Polski z rachunku aljantów. Dwa punkty zostają do ostatecznego załatwienia sprawy polskiej, jako problemu międzynarodowego. Jeden to problem wojska polskiego i uchodźców zagranicą, drugi to "wolne i nieskrępowane" wybory w Polsce. Odłóżmy rozważanie pierwszego problemu do innej okazji i zajmijmy się drugim.

Jest widoczne dla każdego, że polityka wewnetrzna krajów kontrolowanych przez Rosję jest w ogólnych zarysach ustalana na Kremlu. Dotychczasowa praktyka wskazuje, że istnieja dwa jej warjanty, bardziej i mniej totalitarny. W Finlandji i na Węgrzech (a także w części Austrji, znajdującej sie pod kontrolą sowiecką) wielkorządcy rosyjscy, Żdanow i Worosziłow, zgodzili się na formułę wyborczą, w przybliżeniu podobną do zachodnio-europejskiej. Mimo nieobecności tysięcy wyborców, którzy uszli zagranicę i mimo odebrania prawa głosu dziesiątkom, czy może setkom tysięcy innych wyborców pod hasłem, że są faszystami, raz słusznie, a raz niesłusznie, mimo niemożności wysunięcia list wyborczych o charakterze czy to konserwatywnym, czy "orjentacji zachodniej", — Finnowie, Węgrzy i Austrjacy ogromną wększością odmówili zaufania komunistom.

Jednocześnie w Jugosławji, Bułgarji i Albanji stało się zupełnie odwrotnie. Przy totalitarnych wyborach opozycja demokratyczna nie miała tam nic do powiedzenia. Nikt się nie dowie, co naprawdę czuły i myślały masy wyborców bałkańskich, ponieważ możność zbadania ich nastrojów została zgóry zamknięta. Bułgarzy i Serbowie mają tradycję wdzięczności wobec carskiej Rosji za obronę ich interesów w XIX wieku. Nikt nie może powiedzieć, ile z tej tradycji pozostało Kremlowi.

Dlaczego Rosja zastosowała jedną formułę wobec Węgier i Finlandji, a inną wobec Jugosławji i Bułgarji? Doświadczenie uczy, że rozumowanie polityczne na Kremlu oparte jest zwykle na prostych, żeby nie powiedzieć prostackich przesłankach. W kraju, gdzie decyzje polityczne są do ostatnich granic skoncenttrowane w rękach niewielkiej grupy osób, a istotnie ważne dyrektywy w rękach jednego człowieka, można być zupełnie pewnym, że oparte być one muszą na najprostszych tezach. Trudność sadu o takich sprawach dla człowieka z boku polega na tem, że niewiadomo, jakie są najprostsze tezy Kremla, które zresztą mogą być przypadkowe, a nawet absurdalne. Dlaczego Finnom i Węgrom pozwolono na plus minus wolne wybory? Czy dlatego, że jednych jest tylko 4, a drugich 8 miljonów, i że wobec tego nie mogą być w niczem dla Rosji niebezpieczni, zwłaszcza gdy przegrali wojnę i mają wojska sowieckie w kraju — a to pomimo, że tradycja tych krajów jest konsekwentnie antyrosyjska? Czy dlatego, że wzamian za to nie mają oni tradycyjnej orjentacji na inny poza Niemcami Zachód, że nigdy, w przeciwieństwie do Polaków, Rumunów, Czechów, nie stawiali na przyjaźń Francuzów, Anglików, Amerykan? Czy dlatego, że nie wydali z własnego grona wodzów komunistycznych kalibru Dimitrowa lub Tito, na których bezwzględność i ciężką rękę Kreml może liczyć i zaufać im sformowanie nowych quasi-komunistycznych społeczeństw? Czy dlatego, że program "słowiański" nie może, czy nie ma być zastosowany do Finnów i Węgrów? Czy wreszcie dlatego, że poprzez północny Bałkan prowadzi droga do Turcji, Grecji i na Bliski Wschód, i że jeśli trzy kraje bałkańskie mają mieć za zadanie stać się awangardą w rozbijaniu Imperjum Brytyjskiego, to pewniej będzie, jeśli będą one pod bezpośredniem kierownictwem zaufanych agentów Moskwy?

Jest prawdopodobne, że odpowiedź na pytanie, dlaczego Kreml stosuje dwie polityki do dwóch grup krajów, mieści się w ramach powyższych hypotez, i że te same argumenty wejdą w rachubę przy określaniu przyszłej formuły wyborczej w trzech krajach kontrolowanych, w których to dotąd nie zostało dokonane: w Rumunji, Czechosłowacji i Polsce.

Kompromis moskiewski co do rządu rumuńskiego przypomina znaną receptę na pasztet z jednego zająca i jednego konia — zająca dla demokracji i dla Anglosasów — i nie zapowiada, aby wybory rumuńskie miały odbyć się według formuły węgierskiej. Niemniej nic jest to całkowicie pewne, tak jak nie jest pewne dla Czechosłowacji, gdzie tradycyjne rusofilskie partje, komuniści, socjaliści i socjaliści narodowi Benesza mogą, nawet bez sztuczek wyborczych, liczyć na znaczne powodzenie u wyborców. Wypadek Polski jest bardziej skomplikowany.

Wszystkie wolne wybory powszechne w Polsce (1922, 1928 i 1930), które odbyły się na podstawie ordynacji wyborczej z r. 1922, będącej dopełnieniem i korelacją Konstytucji z marca 1921, oraz poprzednio jeszcze wybory do Sejmu Ustawodawczego, w większej części okręgów oparte na zbliżonych zasadach, dały zwycięstwo grupom i partjom umiarkowanym. Terminologja partyjna podczas tych wyborów była dość płynna, ale w przetłomaczeniu na język późniejszy i powszechnie przyjęty, można ponad wszelką wątpliwość ustalić cyfrowo, że zwolennicy narodowej demokracji, chrześcijańskiej demokracji, stronnictwa ludowego Piast i Piłsudczycy, z dodaniem mniejszych, często przejściowych grup umiarkowanych, stanowili w tych latach około dwóch trzecich polskiego elektoratu. Przewaga żywiołów umiarkowanych w wolnych sejmach byłaby jeszcze bardziej widoczna, gdyby niebrać w rachubę posłów, wybranych przez mniejszości

narodowe, których obecna Polska prawie nie posiada. A któż ośmieli się zaprzeczyć, że przemożna większość wyborców z tych lat, którzy powołali do sejmów posłów z PPS lub z Wyzwolenia, t. zn. z lewicy autentycznie polskiego pochodzenia, nie miała i nie może mieć nic wspólnego ani z założeniami, ani z organizacją sfałszowanej przez Osubkę PPS lub fałszywych ludowców Kowalskiego? Po zeszłorocznej niwelacji społecznej w Polsce niema już różnicy w poglądach tych, którzy dawniej głosowali na Dmowskiego, czy na Daszyńskiego. Sztandar polski jest biało-czerwony, i nić biała i nić czerwona przewijają się wzajemnie i łączą w całość historji Polaków od czasów Stanisława Augusta. Taka jest polska synteza. Ale czerwień polskich socjalistów i polskich radykalnych ludowców nie bez racji ma w popularnem ujęciu (choć nie heraldycznie) odcień amarantowy, inny od szkarłatu flagi sowieckiej.

Nastawienia i tradycje narodowe ulegają powolnym przeobrażeniom ewolucyjnym, lub nawet raptownym zmianom w razie rewolucyj — pod warunkiem, że rewolucje te powstają z miejscowej i organicznej inspiracji. Obecna rewolucja polska jest napływowa, siłą narzucona z zagranicy. Może ona narzucić Polsce nowe niegodne władze, nowy system polityczny, społeczny i gospodarczy, ale nie może w przeciągu krótkich lat zmienić psychologji narodowej. Do Bieruta i Osubki mogą przystać liczni oportuniści, szukający łatwiejszego bytu, oraz część najmłodszego pokolenia, które nie pamięta ani wolnej Polski, ani nawet prawdziwej Polski Podziemnej. O tem jednak, aby w wyborach 1946 lub 1947 roku, wyborach opartych na wzorze węgierskim lub fińskim, jeden lub dwa procent ludności, który w wolnej Polsce głosował na komunistów czy komunizantów, miał się zamienić na większość czy nawet pokaźną mniejszość, mowy być nie może. Minister policji Radkiewicz wie o tem lepiej od piszącego te słowa, a sowieccy dozorcy nad Polską lepiej od Radkiewicza.

Gdy ogłoszono rezultat wyborów węgierskich, w ruinach Budapesztu cyrkulował dowcip: ktoby przypuszczał, że mieszkańcy stolicy składają się głównie z drobnych rolników? Nic w tem jednak nie było dziwnego. Partja drobnych rolników była jedyną partją dopuszczona do wyborów na Węgrzech, która była wyraźnie partją poza-komunistyczną. Wyborca Budapesztu miał przed soba dylemat bardzo prosty: albo komuniści, jawni czy kamuflowani, albo drobni rolnicy. W Polsce, jeśli stronnictwo ludowe Mikołajczyka bedzie dopuszczone do wyborów oddzielnie od listy komunistycznej, także okaże się, że w Warszawie, Łodzi i Krakowie ludność składa się głównie z ludowców: ludowcy w fabrykach, ludowcy w sklepikach, ludowcy na poczcie, w urzędzie skarbowym, w cenzurze, w milicji. A gdyby poza Mikołajczykiem miał być dopuszczony do wyborów Popiel z jego katolikami, to okaże się, że w Polsce wieś głosuje głównie na ludowców, a miasta na chadeków. Bynajmniej nie dlatego, że naprawdę wierzą tym organizacjom, a zwłaszcza ich szefom, ale poprostu ponieważ dla tego trzonu elektoratu polskiego, który w przeciągu półtora roku przemocy sowieckiej nie mógł ulec kompletnej metamorfozie, Mikołajczyk czy Popiel będą lepsi od gorszych, najlepsi z możliwych.

Gdyby do takich wyborów doszło, a przebieg ich miał przewidziany przez nas rezultat, Bierut i spółka mieliby do wyboru albo kontentować się jedną lub dwiema podrzędnemi tekami w nowym rządzie, albo dopuścić się jeszcze większych gwałtów niż dotąd. Pierwsze wydaje się niemożliwe do pojęcia; drugie, mimo precedensu rozpędzenia konstytuanty wszechrosyjskiej wkrótce po rewolucji sowieckiej, byłoby dość niebezpieczne z uwagi na zagranicę. Dlatego też sądzimy, że w Moskwie zapewne przeważa teza, że do takich napół-wolnych wyborów w Polsce dopuścić nie można, i że ma się tam wszystko odbyć "po bułgarsku". Mikołajczykowi zaproponuje się 10 czy 15 procent mandatów na zjednoczonej "narodowej", "demokratycznej", czy jakkolwiek się ona będzie nazywać liście rządowej, a nawet dopuści się do niej dwóch czy trzech chadeków w rodzaju ks. Kaczyńskiego. Zgodzą się — to dobrze. Nie zgodzą sie? I na to będą sposoby. Czyż policja Radkiewicza nie zabija już i nie wywozi do Rosji działaczy ludowych, zaufanych Mikołajczyka? Kto zaryzykuje kandydować przeciw rządowi, jeśli to ma grozić gardłem? Szykan, sztuczek, szwindli, szantażów, obłudnych tłomaczeń dla zagranicy tym panom z warszawskiej milicji nie zabraknie. A gdyby miało zabraknąć, to od czego niezastąpiony Wyszynskij, spec od wyborów na Łotwie w r. 1940 i rządu rumuńskiego w pięć lat potem?

Głuche milczenie panuje zagranicą dokoła problemu wyborów polskich. Sygnatarjusze poczdamscy są poinformowani o prawdziwym stanie rzeczy w Polsce z obserwacji na miejscu i mają w rękach formułę o "wolnych i nieskrępowanych" wyborach, podpisoną i przez Rosję. Czy oportunizm polityczny, który od Teheranu jest naczelną dewizą polityki anglosaskiej, pozwoli mocarstwom zachodnim na obstawanie przy tej formule, czy też uznanie "republiki federalnej" w Jugosławji jest już obowiązującym precedensem?

Piszący te słowa nie ma wiele złudzeń. Zdaje on sobie sprawę, że obecnego rządu W. Brytanji nie stać na samodzielną politykę w stosunku do Rosji, i że ktokolwiek byłby dziś u władzy na Downing Street, nie ośmieliłby się bronić jakiejkolwiek sprawy we wschodniej Europie wbrew poglądom Waszyngtonu. W Waszyngtonie zaś kierująca obecnie polityką zagraniczną Ameryki grupa ideologiczna z całą świadomością wyprzedaje się, w imię miłego spokoju na pewną ilość lat, z reszty atutów, które Ameryce jeszcze pozostały w Europie. Wolność ruchów tej grupy nie jeszcze całkowita, ale wyraźnie rośnie. W rękach tych kilku ludzi leży w praktyce decyzja, czy Zachód ma, czy też nie ma, bronić formuły poczdamskiej co do wyborów w Polsce. Kilkuset obserwatorów amerykańskich kontrolować będzie, czy komuniści greccy będą mieli wszystkie przywileje wyborcze podczas zbliżających się wyborów w Grecji. Jest charakterystyczne dla obecnego ulepszonego po zwycięstwie nad faszyzmem świata, że gdyby ktoś zająknął się, iż może byłoby dobrze mieć kilku obserwatorów amerykańskich czystości wyborów w Polsce, to byłby publicznie zakwalifikowany jako szaleniec — może jako wróg "Zjednoczonych Narodów".

Gdyby Ameryka miała aktywnie i konsekwentnie obstawać przy "wolnych i nieskrępowanych" wyborach w Polsce, to byłaby zapewne większa szansa, że do takich wyborów doszłoby, i że w rezultacie dalsze zsuwanie się Polski po równi pochyłej byłoby zatrzymane. Ale papierowe demonstracje, przy pełnej gotowości do traktowania za dobrą monetę niemniej papierowych zapewnień ze strony warszawskich totalistów, nie wpłynęłyby na poprawe stanu rzeczy w Polsce, a przyczyniłyby się tylko do dalszego wprowadzenia w błąd nieświadomej rzeczy opinji publicznej w Ameryce i gdzieindziej. Jest się nad czem zastanowić: kto wie z całą pewnością, gdzie leży mniejsze zło?

JERZY ANDRZEJEWSKI

"PRZED SĄDEM"

Ciąg dalszy.

Gdy żołnierz odstąpił, Piotr usunął się na podłogę. Wciśnięty w kąt izby z kolanami podkurczonymi pod zwieszoną głową, wymiotował na siebie. W pewnej chwili uczuł, że go podnoszą z podłogi i sadzają na stołku. Potem chluśnięto mu w twarz strugą zimnej wody. Trochę oprzytomniał. Ból jeszcze w nim ćmił, lecz w porównaniu z tem, czem był przed chwilą, wydawał się nieomal ulgą i uspokojeniem. W pokoju było cicho. Bzykała mucha na szybie. Junkier spoglądający przez okno pogwizdywał przez zęby. Na szosie dudniły czołgi. Bliżej zawarczał motocykl.

Piotr zgarbiony, rękoma objąwszy brzuch, prawie przestał oddychać w obawie, żeby nieostrożnem poruszeniem na nowo bólu nie rozjątrzyć. Naraz poczuł na twarzy ciepłą wilgoć. Gdy machinalnie podniósł rękę, uczuł, że oblepia mu palce kleista gęsta krew. Płynęła z nosa, niżej namacał rozcięte wargi i pokaleczone dziąsła. Wyprostował się. Zrazu ujrzał wszystko poza rdzawą, rozmiękłą mgłą. "Muszę mieć czoło skaleczone" — pomyślał obojętnie. Przetarł oczy spodem dłoni. Widział teraz cokolwiek lepiej.

Pierwszy zmierzch szarzał w izbie. Na tle okna i lasu, który sinawą niebieskością podchodził pod dom, sylwetki obu oficerów rysowały się bardzo wyraźnie. Ich nieruchomość i spojrzenia zwrócone z pod stalowych kasków w stronę Piotra, lecz mijające go obojętnie jak przedmiot bez znaczenia, upodabniały obu do kamiennych posągów.

Nieco bliżej dojrzał Kaczyńskiego, jego poszarzałą, grubo ciosaną twarz i oczy poza zaczerwienionemi powiekami prawie niewidzące z zalęknienia. Za sobą wyczuł obecność żołnierzy. Odruchowo skurczył się.

Naraz oficerowie zamienili ze sobą kilka krótkich słów. Choć nie chciał tego uczynić, spojrzał na nich. Ból stężał w nim natychmiast. Uczuł tylko w głowie lodowaty chłód. Nie mógł poruszyć się, ani zawołać. Nie należał już do siebie. I czując się przez moment umarłym raczej niż żyjącym, zapadł się naraz w grozę ostatniej świadomej sekundy, w jej samotność prawie nieludzką, przenikającą poza śmierć, w milczenie i w ciemność. Ledwie wydźwignął się z tego zatracenia, zrozumiał, że jest zgubiony i nie ma dla niego ratunku. Aż nagle w to skamieniałe napięcie przerażenia wniknęła myśl, że gdyby mógł teraz znaleźć rękę przyjaznego człowieka, byłby uratowany. Już nie śmierć wydawała się straszna, lecz samotność wobec niej. Strach rósł w nim. Słyszał jak ciemny i bezgłośny ton kołuje w jego głowie coraz prędzej i gwałtowniej. Przestał czuć bicie serca. Istniał tylko w krzyku, który łopotał pod czaszką. Pot wystąpił mu na czoło. "Zwarjuję" — pomyślał. Zdjęty paniką, której nie mógł dłużej znieść, poderwał się ze stołka.

Obaj żołnierze równocześnie pochwycili go za ramiona. Szarpnął się. Znowu uderzenia na niego spadły. Lecz nie czuł bólu. Krztusząc się krwią oblepiającą mu gardło i oczy, szamotał się dalej. Strach dodał mu sił. Udało mu się na koniec odtrącić jednego z żołnierzy, drugiego pociągnął za sobą w stronę stołu.

Płowowłosy junkier przestał patrzeć w okno, a siedzący bliżej porucznik sięgnął wolno po rewolwer.

Piotr głową runął na stół. Usiłował podźwignąć się. Krew latała mu przed oczami. I nim żołnierz oderwał jego palce uczepione krawędzi stołu, wybełkotał:

— Powiem, powiem!

Kaczyński nie zdążył przetłumaczyć, gdy porucznik dał żołnierzowi znak, aby cofnął się.

Piotr został sam. Oburącz przytrzymując się stołu, z czołem wspartem o krawędź,usunął się na kolana. I chociaż natychmiast uświadomił sobie swoje poniżenie, nie miał siły podnieść się. Wszystko stało się dla niego obojętne i nieważne. Jedna tylko natrętna myśl kołowała w nim uporczywie.

Tymczasem porucznik, nieruchomemi oczami wpatrzony w Piotra, bawił się rewolwerem. Nagle powiedział parę słów do Kaczyńskiego. Ten stał przygarbiony mrugając wypukłemi powiekami. W ciszy wyraźnie było słychać chrzęst rewolweru przerzucanego z ręki do ręki. Mucha uporczywie pobzykiwała przy oknie. Wreszcie Kaczyński pochylił się ku klęczącemu.

— Kto? — spytał szeptem.

Tamten jakby nie słyszał. Nie poruszył się.

— Panie leśniczy! — powtórzył sklepikarz. — O nazwisko pyta.

Piotra doszedł ten głos z bardzo daleka. Czuł, że traci przytomność. Lecz równocześnie zdawał sobie sprawę, że musi natychmiast zebrać wszystkie siły, aby potrzebne nazwisko powiedzieć. Podniósł głowę. Twarz Niemca osłoniętą hełmem, zacierał zmierzch. Jedynie oczy wśród tego cienia były widoczne: bardzo jasne, prawie przeźroczyste.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
157 East 64th Street
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager
Dr Leopold Obtere[illegible]

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Piotr przymknął powieki. Słony smak krwi przyprawiał go o mdłości. Wreszcie nieomal na dnie bezgłośnej ciemności szarpnęło nim przejmujące olśnienie. Odetchnął głębiej i poprzez krew sączącą się z rozchylonych warg szepnął:

— Walicki!

— Walitzki? — pochylił się porucznik.

I spojrzał na sklepikarza.

—Co to za jeden?

Kaczyński cofnął się i wyłamując palce w stawach począł bełkotać bez związku.

Tamten podniósł się i skinął na niego palcem. Sklepikarz przysunął się bliżej.

— Walitzki? — powtórzył porucznik.

Kaczyński milczał. Niemiec ściągnąwszy ciemne brwi przyglądał mu się chwilę. Nagle wyprostował ramię i poprzez stół uderzył stojącego pięścią w twarz. Kaczyński krzyknął krótko, rękoma zasłonił głowę. Stał tak chwilę oddychając ciężko zaokrąglonymi ustami. Wreszcie, zacinając się i bełkocąc, począł mówić.

Karol Walicki był nauczycielem w odległej o kilometr Rudawicy. Przyjaźnił się z leśniczym. Z rodziny miał tylko matkę, na wpół sparaliżowaną staruszkę. Mieszkał przy budynku szkolnym.

— Genug! — przerwał porucznik i z zadowoleniem spojrzał na towarzysza.

Ten skinął głową, przeciągnął się leniwie w ramionach i wstał. Kaczyński mrugając zaczerwienionemi powiekami spoglądał na jednego, to na drugiego.

— Raus, raus! — krzyknął porucznik.

I pchnął go w stronę wyjścia.

Po chwili Piotr został w izbie z jednym tylko żołnierzem. Był to ten sam, który przed chwilą tak zaciekle kopał go w brzuch. Teraz Niemiec podniósł go z podłogi i posadził na stołku. Spoglądał na niego chwilę. Potem wyszedł do sieni i zaczerpnął z wiadra świeżej wody. Piotr machinalnie wziął kubek. Gdy chciwie pił, żołnierz przyglądał mu się z litością pomieszaną z pogardą. W pewnej chwili powiedział kilka słów. Przeczekał trochę i powtórzył je. Widząc jednak, że Piotr nie rozumie, wzruszył ramionami, przysunął ku oknu drugi stołek i usiadłszy zapalił papierosa.

Zmierzch gęstniał i ciemniał. Las, ciągle jeszcze niebieskawy, stał się teraz bezkształtną mgłą, jak nieruchomy obłok wyrosłą z szarozłotawej ziemi, a w górze rozdzierającą inne obłoki, których stalowe i bure strzępy pędził nisko niewidzialny wiatr. Dwie samotne jabłonki wiązały ten pejżaż czernią wiotkich gałęzi. W ciszy, niby tajemnicze nawoływania, rozbrzmiewały chrapliwie głosy niemieckich żołnierzy. A z głębi mroku, jak gdyby nadchodząca noc niosła przed swymi ciemnościami groźny pomruk, szło dudnienie czołgów i samochodowych kolumn.

Piotrowi było nieomal dobrze. Tylko chłód mu dokuczał. Skulił się więc aby szczelniej ogarnąć w sobie zimno, znowu wydało mu się, że wszystko jest snem. I jak zdarza się we śnie, począł niepokoić się, że nie zdąży wyjść na spotkanie Karola. Wracając w południe do Rudawicy Karol obiecał, że jeśli tylko będzie mógł, postara się jeszcze raz zajść przed wieczorem. Prawie codziennie o tej porze przychodzi.

Najkrótsza droga z leśniczówki do Rudawicy prowadziła lasem. Piotr na przełaj przeszedł przez kartoflisko za domem i szybko pośpieszył znajomą ścieżką. Spotyka Karola w połowie drogi. Karol jest jak zwykle bez czapki, w grubej szarej kurtce i w dobrze już podniszczonych spodniach. Wracają do leśniczówki drogą nieco dalszą, bo Piotr chce zajrzeć do szkółki młodych świerków. Las jest pełen niebieskości. Wśród niej brunatne pnie smukłych sosen, oderwane od ziemi i korzeni, łagodnie poddają się kołysaniu wiatru. Gdy nastaje cisza, wysoko szumi igliwie, a sprawia to złudzenie, że szumią obłoki. Karol idzie pierwszy. Pogwizduje rytmiczną, radosną melodję, w której Piotr natychmiast rozpoznaje pierwsze takty z "Eine kleine Nachtmusik".

Karol spogląda na niego.

— Chcesz, nastawię ci jedną płytę? bardzo ją lubię.

Pochyla się nad albumem z płytami i przy świetle dogasającego ogarka wyszukuje potrzebną. W piecu buzuje ogień, trzaska drzewo. Mała orkiestra zaczyna głosić swoją radość. Piotr słucha przymknąwszy powieki. Gdy je otwiera, widzi na wprost siebie pochylony profil Karola, jego niskie czoło, a nad nim ciemne, gęste włosy. Samotność własnego życia wydaje się naraz Piotrowi mniej dotkliwa niż zawsze. Myśli, że wróciwszy do siebie znajdzie się jak co dzień w pustym domu, lecz jednocześnie myśli, że jutro znowu może zobaczyć przyjaciela. Oczekiwać, czyż to nie znaczy łagodzić samotność?

Dokończenie nastąpi.



ARTUR GROTTGER: *ROK 1863*

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

ANIELA ZAGÓRSKA I INNI

Aniela Zagórska, świetna tłumaczka Conrada, zmarła w Warszawie jesienią 1941 lub 1942 roku. (Niestety, pamięć dat czasem mnie zawodzi). Przed wojną, pokoik Zagórskiej w Warszawie stanowił najciekawszy salon literacki. Prócz pisarzy, bywali tam artyści wszelkich sztuk, rząd, wojsko, dyplomacja, teatr. Tu nareszcie — w tym skromnym pokoju, pełnym fotografji Conrada, książek, pamiątek i ślicznych rysunków Kamieńskiego — z którym Zagórska była zaręczona za młodu — można było pogawędzić ciekawie i szczerze, tu nie obowiązywała żadna etykieta, żadne kłamstwo. "Five", kończył się czasem o piątej... rano, chociaż przyjęć nie było żadnych, prócz herbaty z ciastkami i chociaż zawsze brakowało krzeseł.

We wrześniu 1939 roku pokój Zagórskiej na Czackiego został zniszczony i spaliły się wszystkie pamiątki po Conradzie. Panna Anielusia — zwana tak popularnie w Warszawie — zamieszkała w parterowem mieszkanku na Górnośląskiej 16, wraz ze swą owdowiałą kuzynką, Marją Godlewską, również doskonałą tłumaczką autorów angielskich. Zamiast herbatek, odbywały się tam teraz wykłady na poziomie uniwersyteckim dla nielicznego grona wybranych i pozostałych w stolicy przyjaciół. Zagórska żyła nadal z przekładów Conrada. Wydawcy warszawscy zakupywali bowiem chętnie dobre rękopisy "na pojutrze", to znaczy kiedy Niemcy zostaną wygnani a nastanie... prawdziwa Niepodległość. (Nawiasem dodam, że do r. 1944 zakupili około dwudziestu tysięcy rękopisów, bardzo wydatnie pomagając pisarzom do przetrwania okupacji i bezrobocia. Większość tych rękopisów spaliła się w Powstaniu).

Zagórska była najlepszą koleżanką. "Pani jest w biedzie" — informowała się serdecznie — "to proszę pójść do wydawcy X. Wiem, że ma teraz pieniądze i chętnie kupi rękopis na pojutrze". Rada najczęściej okazywała się zbawienna.

Któregoś ranka telefon od Godlewskiej — "Anielusia umarła. Wyprowadzenie o piątej z domu". Boże jaki żal, jaki żal. Z nią razem umiera znowu coś z przedwojennej Warszawy. A jednocześnie drugie, typowo warszawskie uczucie, które zrozumieją ci wszyscy, którzy latami żyli pod grozą Gestapo. "Normalnie? W domu? Szczęśliwa kobieta! Cóż za złoty los".

Schodzimy się o 5-tej, niedobitki literackie stolicy, z sędziwym Sieroszewskim na czele. Jest trochę dalszej rodziny. Godlewska bladziutka, zapłakana. Stare piękne mahonie w saloniku, zapach jesiennych kwiatów i świec. Anielusia niewymownie śliczna w trumnie, różowa — może od blasku świec, półuśmiechnięta. Taka właśnie musiała być za młodu, kiedy rysował ją zakochany Kamieński. Stoimy w ciszy. Tuż obok trumny stolik z rozpoczętym rękopisem pióro oparte o kałamarz, otwarty angielski egzemplarz oryginału, słowniki.

— Czy to aby nie letarg? Czy doktór badał? — pyta nagle Sieroszewski, niespodziewanie głośno, bo był wtedy zupełnie głuchy.

— Badał! — krzyczy Godlewska.

Poczem, w sąsiednim pokoju opowiedziała, jak było:

— "Wczoraj popołudniu zasiadłyśmy obie do tłumaczenia. Po chwili Anielusia wywołała mnie do swego stolika i razem zastanawiałyśmy się nad jakiemś trudnem zdaniem. Była to 84-ta stronica "The Golden Arrow" Conrada. Nagle Aniela wstała i mówiąc "zaraz wrócę" wyszła z pokoju. Czekałam dłuższą chwilę — cisza. Wołam — cisza. Wreszcie wychodzę do przedpokoju — Anielusia leży na dywanie, sztywna, blada. Przecież nawet nie słyszałam upadku ciała! Nie było ani słowa, ani jęku — nic. Biegnę jak szalona po doktora na trzecie piętro. Przychodzi natychmiast. Koniec. Serce. Nie ma już nic do uratowania. A pióro jeszcze nie wyschło na biurku...".

— Kiedy po wojnie wyda się "Złotą Strzałę" — odzywa się ktoś pocichu — ta osiemdziesiąta czwarta stronica powinna wyjść w żałobnej obwódce, z adnotacją: "po tem słowie umarła tłumaczka". A pani Godlewska powinna dokończyć przekładu.

Stoimy w ciszy. W pół do szóstej. Ksiądz czeka, czeka kilkanaście osób. Dlaczego nie przyjeżdża samochód z zakładu pogrzebowego? (Za okupacji niemieckiej dozwolone były tylko samochodowe pogrzeby, inaczej, wobec olbrzymiej śmiertelności, ciągłe pochody tamowałyby ruch).

Usiadłam spokojnie i patrzę na Zmarłą, nie mogę oderwać oczu. Nigdzie mi się nie spieszy. Myślę o świecie, którego już nie ma. Ale czuję, ze inni się denerwują.

Szósta. Samochodu nie ma. Wreszcie ktoś zniecierpliwiony telefonuje do zakładu. Zakład przeprasza, zapewne samochód nadjedzie, ale narazie, państwo rozumieją, z powodów niezależnych...

Rozumiemy. To Niemcy! Albo zarekwirowali wszystkie maszyny i wyjechali gdzieś na obławę, albo nie przydzielili paliwa. Nawet Tej, która umarła spokojnie, nie zdołamy spokojnie pochować.

Siódma. - Ludzie zaczynają się rozchodzić. Godzina policyjna o ósmej, a tramwaje zapchane. Strach czekać. "Five'y" u panny Anieli zawsze się przeciągały" — uśmiecha się ktoś gorzko.

Wreszcie zakład pogrzebowy oświadcza telefonicznie: "Jutro o dziewiątej rano".

To bardzo przykro. Godziny pracy — prawie nikt nie może przyjść. Żegnamy oczyma niepojęcie różową i uśmiechniętą twarz w aureoli chryzantem i gromnic. Wychodzimy przygnębieni na mokrą śnieżycę i wiatr. Blada i zapłakana Godlewska zostaje samiutka z ciałem.

Nazajutrz, naturalnie przyszło nas połowa. Znowu leciał mokry śnieg. Lica były już woskowe, kwiaty zwiędły, dopalały się świece. Pożegnałam trumnę w bramie, musiałam wracać do pracy. Czarnym samochodem pojechało z trumną zeledwie sześć czy pięć osób.

Ale już wieczorem wszyscy znajomi wiedzieli, co stało się na Powązkach. Wieści rozchodziły się po mieście z niesamowitą szybkością.

Trumnę wstawiono do małej kapliczki pogrzebowej, naprzeciwko kościoła św. Karola Boromeusza i ksiądz rozpoczął Mszę świętą. Nagle — dosłownie podczas Podniesienia — wpada z hałasem banda uzbrojonych Niemców. "Otwierać trumnę! To nie zwłoki! To schowana broń!"

Ksiądz ani drgnął. Spokojnie odprawiał dalej. Jeden z obecnych, mówiący po niemiecku zdołał wyperswadować, wmówić, uzgodnić, dowieść. Wszyscy mieli papiery w porządku. Niemcy wywalili się wreszcie; ludzie, stojąc na drżących nogach, dotrwali do końca nabożeństwa.

Przy bramie cmentarnej, — identyczna historja, tylko już inni Niemcy. "Otwierać! Nie wpuścimy! To broń!"

Cudem skończyło się znowu na perswazjach. Sprawę uratował ów pan, mówiący językiem szatanów. Ale podobno Niemcy pilnowali murowania grobu do końca. Naiwni! Gdyby to była broń — cóżby jej szkodziło chwilowe zamurowanie?

Okazało się potem, że właśnie w dzielnicy Powązki natrafiono na oddział dywersyjny. Rewizje, obława,

strzelanina — jak zwykle. Zatrzymano wszystkie tramwaje, nikt nie dojechał na pogrzeby.

Tak wyglądała "normalna" śmierć i pogrzeb literatki polskiej w Warszawie.

* * *

A jednak jeszcze najnormalniejsza. Karol Irzykowski i Juljusz Kaden Bandrowski zginęli od bomby w czasie Powstania. (Rok przedtem, w nieudanym zamachu na gestapowca zginął w bramie, Świętokrzyska 18, młody syn Kadena, dosłownie rozdeptany butami i zmiażdżony kolbami). Oboje Miłaszewskich — zasłużoną parę literacką — zastrzelono na Placu Teatralnym, kiedy wychodzili z piwnicy na rozkaz "Raus!" Marjuszowi Maszyńskiemu i jego żonie kalmuki w służbie niemieckiej poderżnęli nożem genjalne gardło w bramie domu Chłodna 24, gdzie po wybuchu Powstania znalazł się przypadkowo. Nikt na świecie tak nie deklamował "Pana Tadeusza!" Boy rozstrzelany we Lwowie. Zofja Kossak — na szczęście nierozpoznana — więziona była na Pawiaku. Również Pola Gojawiczyńska, ciężko chora, przebyła 4 miesiące Pawiaka. Witold Hulewicz, literat i kierownik teatru radiowego, bohatersko zginął na Pawiaku. Tamże rozstrzelano świetnego malarza prof. Mieczysława Kotarbińskiego. W Powstaniu polegli: Prof. Loth, anatom, dyr. Dippel i Rapacki — twórcy "Społem". Janusz Korczak, wielki Polak i wielki Żyd — "Stary Doktór" radiowy — zginął męczeńską śmiercią. Prof. Stanisław Sumiński, najpopularniejszy prelegent radiowy dla młodzieży, tak zwany "Pan od przyrody", zaaresztowany prewencyjnie "na jeden dzień" przed 11-tym listopada — zamęczony w Majdanku. Emilja Gocholska, wspaniała redaktorka tygodnika "Kobieta Współczesna" i "Femme polonaise" — zamęczona w Oświęcimiu. Dr. med. Zofia Garlicka z córką — rozstrzelane gdzieś w lagrze. Prof. dr. Tadeusz Matuszewski, autor jedynej polskiej bakterjologji rolnej na poziomie uniwersyteckim — nie wydanej nawet jeszcze — zmarł na tyfus w lagrze Loebesitz.

Ignacy Chrzanowski, Michał Siedlecki — Oranienburg. Dziesiątki uczonych krakowskich! Nie sposób wymienić wszystkich. Nie sposób nawet kolejnością wyliczenia podkreślić zasługi.

Ot, po prostu osobiści znajomi z brzegu pamięci. W głowie szumi.

"Szumowiny" polskie — "szumowiny" polskie...

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

NIEMA DLA NAS UCIECZKI

Niema dla nas ucieczki na niebie i ziemi
Ani żadnego w ciszy ocalałej kąta,
Burze sieją nas ciemne garściami pełnemi,
Świat depce porzuconych i wiatr nas uprząta.

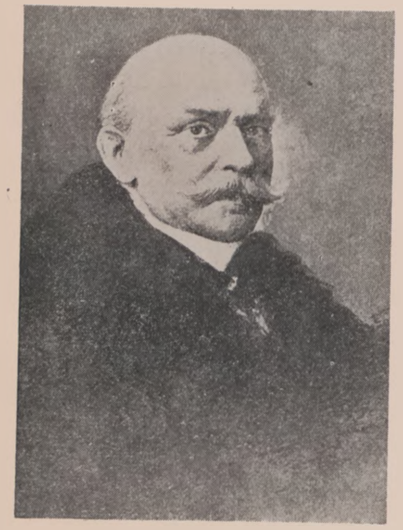
I jeśli po nas jakiś plon jeszcze się zbierze
I pamięć bez pogardy jeżeli zostanie
To wtedy, gdy jak owi staniemy żołnierze,
Co bili się o wolność, by pójść na wygnanie.



RUINY OGRODU SASKIEGO I PLAC PIŁSUDSKIEGO W WARSZAWIE

ZŁOTE KARTY POLSKIEGO PIŚMIENNICTWA

Teofil Lenartowicz: Wiersze ze zbioru "LIRENKA"



Teofil Lenartowicz

ZŁOTY KUBEK

W szczerem polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liściami,
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę,
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział
w całym świecie
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej,
Pan Bóg łaskaw na sierotę:
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote.
Zawołała na złotnika:
"Złotniczeńku, zrób mi kubek,
Tylko, proszę, zrób mi ładnie!
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Moja matke zrób mi na dnie!
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny niech sie świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci."

"Ja ci zrobię złoty kubek
I uleję wszystko ładnie;
Zamiast uszka ptasi dziobek,
Twoją matkę zrobię na dnie;
A po brzegach naokoło,
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło,
A pod spodem małe dzieci.
Ale czyjeż ręce, czyje
Będą godne tej roboty.
Ale któż się nim napije,
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dłonie wziąść ośmieli,
W złotem denku przejrzeć lice?"

"Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.
Złotniczeńku, patrz weselej,
Czemu twoje w łzach źrenice?
Sam Pan Jezus i anieli
I Maryja, i dziewice."

DUCH SIEROTY

Idzie sobie pacholę
Przez zagony, przez pole;
Wielki wicher, ulewa,
A to idzie a śpiewa.

Wyszedł z gaju gajowy
I ozwie się w te słowy:
"Taka bieda na dworze,
A ty śpiewasz, niebożę?"

"Oj, długo ja płakała,
Gdy mnie nędza wygnała
Gdy ja, biedna sierota,
Drżąca stała u płota.
Aż raz w nocy niedzielnej
Przy dzwonnicy kościelnej
Mróż wszelakie czucie ściął,
I Pan Jezus duszę wziął:
Jedna zimna mogiła
Moją biedę skończyła.
Siwy dziad mnie pochował,
On mnie płakał, żałował,
On mnie ubrał w sukienki
Do tej zimnej trumienki.
Teraz nic mi nie trzeba,
Idę sobie do nieba."

"O sieroto, o dziecię,
Nic ci nie żal na świecie?"

Żal mi jeno tej łąki,
Gdzie fiołki i dzwonki;
Żal mi słońca na wschodzie,
Kiedy świeci na wodzie,
I fujarki wierzbowej
Z nad zielonej dąbrowy!"

MAZUR ZA WOŁAMI

Ptasze śpiewa, bo ptasze,
Bo ma w lesie swobodę;
Dziewczę śpiewa, bo nasze,
Bo wesołe i młode,
Bo ma liczko, jak róża,
I nie mała, nie duża.

I ja sobie zanucę,
I ja czasem wesoły.
Jeno woły zawrócę;
Albo ja to sierota,
Albo jaki nicpota?

Mam ja rolę i chatę,
I poszyte stodółki,
I bydełko rogate,
I dwa konie, i pszczółki,
I kobietę Jagusię,
I dzieciątko malusie.

Pan Bóg łaskaw na człeka:
Grady biją zdaleka;
U mnie zboże się kłosi,
Deszczyk przyjdzie, porosi,
Albo lunie, jak z cewki,
Na ogrody, przysiewki.

Jak to woły się cieszą,
Kiedy jarzma nie czują,
A rogami się czeszą,
A pa'rzą sie, a żują.
Idzie słonko po niebie —
A, no, woły, od siebie!

Jakoś ciężko pług chodzi,
Ale ziemia obrodzi.
Dla kaleki, żebraka
Daje ziemia nieboga,
Dla sieroty, dla ptaka,
Przyjaciela i wroga.
Byle posiać na dobie,
A no, siwy, a k'sobie!

Danaż moja, oj dana!
Ludzie idą do siana,
Brzęku, brzęku po stali
A, dalejże, a dalej!

Mają zboża Kujawy,
Mają łąki na paszę —
Ale gdzie im bór ćmawy,
Takie lasy, jak nasze?

Oj, Bachorza, Bachorza!
Same błota i trzciny,
I jeziora, jak morza,
I doliny, doliny.
Gdzie sie człowiek obróci,
Wszędzie serce zasmuci.

A to u nas inaczej:
Szumią gaje w równinie,
Ani świata zobaczy,
Jak stryj brodę rozwinie,
Jeno w górze u szczytu
Jasny kawał błękitu.
Raniusieńko, jak zorze,
Słychać ptaków śpiewania:
Skowroneczek już orze
A przepiórka pogania;
Wiatr po liściach szeleści,
Coraz widniej, niebieściej.

Każde przy swej robocie:
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa, a śpiewa,
Żołna lasy rozsiewa.
Przyśpiewują na głosy
To wywilgi, to kosy...
I człek myśli, że w raju,
A on w kraju, oj, w kraju...

Na zachodzie pogoda,
W jasnem niebie wesele —
Dał Bóg ludziom oj, wiele
Może jeszcze co doda,
Może zboża dorzuci —
Może Polskę powróci.
Twardo panu kmieć służy.
I biedyśmy zażyli —
Może życia przydłuży,
Może nieba przychyli,
I od grzechów rozgrzeszy,
I na dzieciach pocieszy.
Słonko schodzi po niebie,
A no, woły, od siebie!

Już z południa daleko,
Ludzie z miasta się wloką:
Idzie baba, śród drogi,
Wiedzie krówkę za rogi,

Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki,
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki —
Dylu dylu od ucha,
Kto ma uszy, niech słucha!

Środkiem włodarz się toczy,
Nawdział czapkę na oczy:
Zajrzał w dzbanek, niedużo.
A nogi mu nie służą.

Szumią lasy, hej, lasy,
A w karczemce grzmią basy:
Kiedy skakać, to skaczą,
A kiedy pić to piją,
A jak płakać, to płaczą,
A jak bić się, to biją.
To już u nas tak idzie,
Na połówkę nic niema —
A pocierpieć jak przyjdzie,
To i to się wytrzyma.

Oj, i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele,
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele,
I za wszystko, co miłe,
I za wszystko, co boli,
W ciężkiej pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli.

Już i zorza przygasa...
A, no, woły do lasa,
Na podwórko przed chatę,
Pod te sosny garbate!

POGRZEB

Robak się lęgnie
i w bujnym kwiecie.

Malczewski.

Jaka smętna i śmiejąca,
Założone na pierś ręce,
Jaka cicha, jakby śpiąca,
Panna moja w tej trumience...

Czy źle tobie było z nami?
Czy niedosyć miałaś kwiatków,
Białych, lilij i bławatków,
I powojów nad wodami?

Śmierć zabrała ciebie sroga,
Zwiędłaś, jak kwiat
nad twą główką,
Moja złota! Moja droga!
Przemów słówko, aby słówko!

Och, nie kładźcie jeszcze
wieka,
Matka chce ją widzieć, matka,
I brat mały do ostatka
Jeszcze znaku życia czeka!

Próżno, próżno wzywam ciębie,
Nikt cię ze snu nie ocuci —
Kogo weźmie grób do siebie,
Tego więcej nie powróci.

Ach, już słychać pieśń
pogrzebu,
Smętna nuta w niebo wzlata...
Anioł, co ją wiódł do świata,
Znowu wiedzie ją ku niebu.

Gasną gwiazdy, więdną róże,
Jasny strumień schnie
na piasku,
Dzień się kryje w nocy chmurze,
A noc w dniowym ginie blasku.
Żegnaj, żegnaj, kwiecie młody!
Jako obłok na błękicie,
Jak na piasku strumień wody,
Wyschło, znikło twoje życie.

Cicho płyną łzy gorące,
Dym pochodni się rozwiewa,
Na zachodzie skrawe słońce
Przez świerkowe świeci drzewa.
Wciąż ta sama pieśń pogrzebu
Smętną nutą w niebo wzlata...
Anioł, co ją wiódł do świata,
Znowu wiedzie ją ku niebu.

Na płacz matki, brata jęki,
Na przyjaciół prośby mnogie
Oderwano wierzch trumienki
I odkryto zwłoki drogie.
Raz ostatni promień słońca
Na zsiniałe świeci lica:
Zdjęta wiecznym snem dziewica,
Wpółpłacząca, wpółśmiejąca,
I spuścili w ziemię lekko,
Wiatr podwionął brzeg jej szaty,
Na jej trumny czarne wieko
Spadła ziemia, łzy i kwiaty.

Cisza, jakby nic nie było,
Z za drzew księżyc świeci blady—
Tylko jeszcze nad mogiłą
Szepcą głuchy pacierz dziady.

JANUSZ LASKOWSKI

UPIORY MROCZNEJ SALI

(KORESPONDENCJA WŁASNA "TYGODNIKA POLSKIEGO" NA PRAWACH WYŁĄCZNOŚCI)

Norymberga, dn. 21 grudnia 1945 r.

Wczoraj krótko po godzinie 16-ej zgasły równomiernie potoki światła rozlewającego się po wielkiej sali sądu norymberskiego. Oskarżeni pod eskortą żandarmów przeszli do swoich cel. I w nich zostaną przez niemal dwutygodniową przerwę świąteczną, aby rozważać dotychczasowy przebieg sprawy, aby rozważać własne czyny, aby wreszcie jeszcze dokładniej przeszłość własną odświeżyć w pamięci i... w dniu 2-im stycznia 1946 r. wrócić znowu na salę rozpraw, na której dzisiaj panuje mrok.

Jestem bardzo ciekaw widoku oskarżonych po ferjach świątecznych. Czy zmienią się chociażby odrobinę ich twarze? Co będzie się w nich malowało?

Mrok pustej sali sądowej wyruszył z Norymbergi na łowy, docierając do Stein, gdzie w pałacu b. fabrykanta ołówków Fabera mieści się nasz obóz prasowy, aby i tu wkręcić się zaciążyć nad niegustownym, wielkim pałacem. Dziennikarze rozjechali się na urlopy świąteczne. Szczęśliwcy! Szczerze im wszystkim zazdroszczę! Zostało zaledwie kilku tych, którzy nie mają dokąd jechać i ja. Po powrocie z sądu położyłem się w swoim pokoju, głowa mnie nieco bolała, wreszcze jakieś dreszcze przebiegały po całem ciele, no i dowiedziałem się, że to bronchit. Gorączka jest wysoka, więc trzeba leżeć w łóżku i o wyjeździe z Norymbergi niema mowy.

W ten sposób spędzę święta samotnie i poważnie, rozważając szczegóły procesu.

Jeszcze wczoraj, kiedy tylko przymknąłem powieki, zjawiać mi się poczynały na wyśnionym ekranie jakieś zmory koszmarne, wywiedzione z niebytu przez przewód sądowy, przez Norymbergę, przez oskarżonych zbrodniarzy. Zmory całego tygodnia. Zmory, które męczyły nas przez cały czas wojny, ale nigdy nie stawały tak wyraziście przed nami, jak dzisiaj, jak po sesjach Trybunału norymberskiego.

Z mroku pokoju wyrastają postacie w więziennych chałatach pasiastych, wloką się podwórcem obozowym, otoczonym kolczastemi drutami, potem zrywają się nagle... Ale już jest zapóźno. Już do nich podbiegają SS-mani, aby ustawić pod ścianę izby chorych.

— Stać spokojnie!

...i bykowcem po plecach.

Lufy rewolwerów kierują się na wysokość uda stojących. Strzały padają jeden po drugim.

— A teraz — marsz do izby chorych.

Przestrzelone postacie wloką się we wskazanym kierunku.

Nie wierzysz, Ameryko?

Tak było! Tak było w pięciu niemieckich obozach koncentracyjnych, gdzie na ludziach-więźniach prowadzono badania naukowe o działaniu trucizny. Kule były zatrute. I dlatego przestrzeliwano niemi uda więźniów, aby na zimno, spokojnie i objektywnie badać reakcję. Po 20-tu minutach przestrzeleni tracili panowanie nad sobą, a potem następował pierwszy krwotok. Tak silny, że trudno go było zatamować. Nieco później nadchodziły potworne, krwawe wymioty, a ostatecznie krwotok powtarzał się w takich rozmiarach, że ratunku już nie było. Był zgon.

To też, kiedy zbliżała się ta ostatnia chwila, lekarz — SS-Doctor — nakazywał:

— Idźcie już do komina. Z was nic nie będzie.

I przestrzeleni dla doświadczeń więźniowie kuśtykali ku krematorjum, gdzie kładli się w niewielkiej szopie wśród trupów i żywych, którzy za chwilę zejść mieli z tego świata. A czasem, jeżeli krematorjum miało zbyt dużo miejsca wolnego w piecach, oprawcy kładli przybyłych odrazu na drewniane nosze.

— Poco macie czekać? A tu właśnie jest miejsce wolne... Kładźcie się.

Rzeczywiście: poco czekać na zgon?

Poco czekać? Odpowiedzże mi oskarżony von Neurath, którego nazwisko nadało wczoraj kilka razy, gdy oskarżyciel przedstawiał Trybunałowi dokumenty, świadczące o przestrzeliwaniu więźniów w obozach koncentracyjnych zatrutemi kulami w celach eksperymentalnych!

Oto czyje wczoraj nazwiska padały: von Ribbentropp, Hess, Sauckel, Bormann, Kaltenbrunner, von Neurath i Seyss-Inquart.

Czy przed nimi powstają wywołane z wieczornego mroku celi obrazy, jakie powstają przede mną w samotności świątecznych ferji?

Czy przed oskarżonymi zjawiają się, chociażby tylko z rzadka, twarze zamęczonych ofiar, twarze, które oglądali w sądzie na filmach?

Nie wiem... nikt nie wie.

Wiem tylko, że Seyss-Inquart ma absolutny słuch i absolutną pamięć muzyczną. I kiedy wraca do celi po sesji Trybunału, siada na swojem łożu więziennem, otula nogi kocem i gwiżdże cale symfonje. Ostatnio po sesji dotyczącej obozów koncentracyjnych — gwizdał przez cały wieczór, odtwarzając w całości symfonję pastoralną Bethovena.

Może jutro z powodu ferji będzie gwizdał Heroicę?

Czy będzie to oznaka dobrego humoru? I czy ten ten dobrze odżywiony oskarżony o czerwonych policzkach i bezmyślnym wyrazie twarzy siebie pod bohatera bethovenowskiej Heroiki podkłada?

Wszystko jest możliwe w tem potwornem bagnie, w tem legowisku zbrodni, które zostało wreszcie osaczone i stoi dzisiaj w obliczu SPRAWIEDLIWOŚCI.

Przewód sądowy przeszedł już dawno nad spiskiem przeciw pokojowi i nad zbrodniami agresji, rozpoczynając studjum dokumentów, dotyczących zbrodni przeciw ludzkości. Skłamałbym, gdybym miał powiedzieć, że spotykam w tej dziedzinie coś nowego. Wiedzieliśmy oddawna o okrucieństwach niemieckich. I wszystko, co było w ostatnim tygodniu przedmiotem rozprawy norymberskiej, jest nam dość dobrze znane od lat. A jednak włosy jeżą się, gdy oskarżyciel czyta zarządzenia niemieckie, gdy cytuje zeznania nielicznych ocalałych z obozów koncentracyjnych, lub gdy przytacza liczby.

Zdawałoby się, że i liczby powinny być nam znane. A jednak...

Z badań amerykańskich wynika, iż w Oświęcimiu i pobliskich Brzezinkach Niemcy zamordowali 1,065,000 Żydów. Tyle w dwu obozach.

Ogółem zaś Niemcy zamordowali 6,000,000 Żydów podczas wojny.

Myśmy o tem wiedzieli, ale łudziliśmy się ciągle, że może statystyki są niepewne, lub że jednak nieznanemi drogami Żydzi zdołali się uratować? Proces norymberski rozproszył te wątpliwości. Liczba Żydów zamordowanych przez Niemców wynosi 6,000,000.

Zdawałoby się również, żeśmy wiedzieli o okrucieństwach, popełnianych przy wywożeniu robotników cudzoziemskich do Rzeszy. Ale wszystko, co wiedzieliśmy, było zaledwie ułamkiem prawdy. Dopiero przewód sądowy w Norymberdze wyjaśnił cały szereg spraw.

Ameryka znać je musi przedewszystkiem nietylko dlatego, że na Ameryce spoczywa obowiązek należytego ukarania sprawców zbrodni, ale również dlatego, że wychowane w wolności społeczeństwo amerykańskie nie było zdolne dotychczas uwierzyć w koszmarną prawdę Europy, — nie było zdolne uwierzyć, w mrok, który otaczał stary świat, w mrok-wylęgarnię zbrodni.

Posłuchajmy zarządzenia o traktowaniu w Niemczech robotników polskich.

1) Robotnik polski nie ma prawa skarżyć sie. 2) Robotnik polski nie ma prawa zmiany miejsca pracy. Obowiązuje go ściśle godzina policyjna. 3) Robotnik polski nie ma prawa używać roweru. Wyjątkiem jest wielka odległość od miejsca pracy. W tym wypadku jednak Polak musi mieć odpowiednie zaświadczenie pracodawcy i zezwolenie pracodawcy na używanie roweru. 4) Robotnik polski nie ma prawa uczęszczania do świątyń jakiegokolwiek wyznania. 5) Robotnik polski nie ma prawa uczęszczania do teatru, kin i innych instytucji kulturalnych. 6) Robotnik polski nie ma prawa uczęszczania do restauracji i lokali rozrywkowych. Raz na tydzień, przestrzegając godziny policyjnej, Polak może chodzić do wyznaczonej przez gminę restauracji. 7) Robotnik polski nie ma prawa mieć stosunków płciowych z kobietami. 8) Polakom nie wolno zbierać się w większych grupach. 9) Polakom nie wolno korzystać z kolei i innych, powszechnych środków transportu.

To samo zarządzenie głosi, że Polacy mają pracować tak długo, jak uzna za wskazane pracodawca, mający zresztą prawo karać dowolnie i na miejscu swoich polskich robotników. Zalecana jest chłosta. W razie stwierdzenia, iż Polak miał stosunek z Niemką, — "należy Polaka powiesić". Jeżeli partnerką Polaka jest kobieta innej narodowości, — "należy Polaka przekazać do najbliższego obozu koncentracyjnego".

Ja mógłbym jeszcze długo cytować. Ale nie to jest ważne. Ważne jest to, że zarządzenie, o którem mówię, nie jest wcale zarządzeniem Gestapo, ani innych władz policyjnych. Powstało ono w wyniku konferencji odbytej w dniu 14-ym lutego 1941 r. w Stutgardzie pomiędzy przedstawicielami ministerstwa pracy, głównego urzędu pracy, biura rekrutacji robotników cudzoziemskich, SS., oraz przedstawicieli *zawodowych związków niemieckich.*

Pomyślmy teraz o wykonawcach zbrodniczych zarządzeń, aby uprzytomnić sobie, iż niemniej, niż połowa narodu niemieckiego — to zbrodniarze! Jeżeli bowiem związki zawodowe rolników ku takim skłaniają się zarządzeniom, — to już nie mówmy o władzach hitlerowskich, o partji, o wojsku, o Gestapo, lecz mówmy o społeczeństwie zbrodniczem. O narodzie! I właśnie to powinna wiedzieć przedewszystkiem Ameryka, której społeczeństwo zbyt wolne jest, aby mogło rozumieć całą potworność niemieckiej zbrodni.

"Aby ułatwić życie niemieckiej gospodyni domowej, zwłaszcza zaś obciążonej dziećmi, a także, aby uniknąć niebezpieczeństwa dla ich zdrowia, Fuehrer polecił mi zebrać 400,000 zdrowych dziewcząt z terenów wschodnich"... — mówił Sauckel. Zaraz zaś po tych słowach niemiecki Instytut dla Gospodyń Domowych wydał instrukcję, w której czytamy: "Nie może być mowy o czasie wolnym" dla tych dziewcząt.

"W nagrodę za dobrą pracę można niewolnicy ze wschodu udzielić raz na tydzień trzech godzin wolnych nie później jednak, niż do godziny 20ej".

Wstają koszmarne zmory, spędzając spokój na zawsze z myśli i z serca. Wstają krwawe ochłapy, prowadząc w bezbrzeżną wędrówkę po ziemi, którą niegdyś znałem, aby wskazywać niezliczone miejsca morderstw, kaźni, zbrodni, zabójstw.

Oto tu — mówią — mordowano jeńców wojennych. To Mauthausen, dokąd gen. Keitel, a dzisiaj oskarżony Keitel polecał odsyłać przedewszystkiem jeńców sowieckich. Strzelano tu nawet bez pretekstów. Ot — dla wprawy. Szczuto psami aż do zgonu, zabijano biciem.

Z jeńcami wojennymi łączy się w umyśle każdego Polaka sprawa Katynia. Albowiem dotychczas nie odkryto niczego potworniejszego, niż mord dokonany na 10,000 oficerów polskich, jeńcach wojennych.

Przed kilku dniami przyszedł z Warszawy do Norymbergi polski akt oskarżenia. Jest to memorjał, obejmujący 20 rozdziałów. Znalazło się w niech wiele zbrodni niemieckich. I jeśli weźmiemy pod uwagę ogólne zbrodnie, — można będzie powiedzieć, iż znalazło się niemal wszystko. Prócz ogólnych rzeczy akt ten zawiera cały szereg szczegółów. M. in. oskarża Niemców o produkowanie mydła z tłuszczu ludzkiego w Gdańsku. Nie mówi jednak ani słowem o sprawie mordu w Katyniu. Dlaczego?

Cóż się dziwić, że setki tysięcy Po-

W POPRZEDNIM NR. 2 (159)

"TYGODNIKA POLSKIEGO"

Emigracja mówi za Kraj; Leopold Staff * * *; Jerzy Andrzejewski: Przed sądem; Janusz Laskowski: Fizjonomjoznastwo i polityka; Jan Lechoń: Śmierć Mickiewicza; Konstanty Idelfons Gałczyński: Pieśń o Fladze; Leon Orłowski: Henryk Korwin-Kałussowski; Irena Lorentowicz: Wieczory Rodzinne; Tydzień Polityczny; Opinje i Zdarzenia.

łaków, wiodących mizerny żywot nędzarzy w obozach w Niemczech, nie chcą wracać? Żołnierz mówi otwarcie: "jeżeli dla krwi żołnierskiej Warszawa nie ma szacunku — nie mam poco wracać". A cywil powiada: "jeżeli "rząd" warszawski nie upomina się o wojsko, to czegóż ja mogą się spodziewać?"

Jakim fałszem brzmią dzisiaj słowa coraz liczniejszych wysłanników warszawskich, nawołujących do powrotu! "Szacunek dla żołnierza"...

A Katyń?

Stwierdzamy: "rząd" warszawski nie upomniał się o zamordowanych w Katyniu, chociaż wszystkie inne rządy przedstawiały memorjały o zbrodni zabijania jeńców wojennych!

Milczenie Warszawy o Katyniu jest aż nadto wymowne! Rozumiemy je. I wraz z nami rozumieć je musi cały świat i wiedzieć, iż istnieje "rząd" przechodzący do porządku dziennego nad 10,000 oficerów zamordowanych w niewoli.

Jeśli ktoś tak dba o żołnierza, — żołnierza mieć nie będzie!

Z mroku, który od wczoraj zapanował na sali sądowej w Norymberdze wyłaniają się skrwawione widma, wyłania się upiór zbrodni, przytłaczając potwornością kształtów całą myśl i wszystkie odczucia. Z mroku wstają obrazy, przedstawiane Trybunałowi w dotychczasowym przewodzie, wołając o SPRAWIEDLIWOŚĆ. Z mroku wstają również oglądane codziennie od miesiąca twarze oskarżonych, — twarze, z których naprózno chcę wyczytać uczucia i myśli. Potworne twarze! Niefrasobliwe, niemal uśmiechnięte, a czasem wręcz roześmiane nawet wtedy, gdy na ekranie przesuwa się film, odtwarzający okropności obozów koncentracyjnych, likwidacji ghett, lub inne barbarzyństwa niemieckie. Ale najpotworniejszą maskę ma dla mnie widmo nieme, widmo, które zawisło nad każdym Polakiem od chwili przedłożenia memorandum rządowego z Warszawy Trybunałowi norymberskiemu, — widmo ofiar Katynia, o które nie upomniał się własny... "rząd".

Trzeba podjąć nowe zadania na swoje barki. "Rząd" milczy. Więc działać wypadnie nam: emigracji.

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Plenarna sesja Organizacji Narodów Zjednoczonych — ONO — została w Londynie otwarta. Bierze w obradach tych udział P. Byrnes, jest obecny P. Bevin i P. Bidault, pełno tam ministrów spraw zagranicznych krajów mniejszych i małych, ale niema w Londynie Mołotowa, co ciekawsze, niema nawet Wyszyńskiego, zajętego potąd na Bałkanach wykrzywianiem uchwał moskiewskich w sprawie "demokratyzacji" rządów pro-sowieckich, to jest opanowanych przez komunistów, w Rumunji i Bułgarji.

Już na samym początku sesji londyńskiej UNO ujawniło się rozbicie głośno reklamowanej "jednomyślności" Wielkiej Trójki. Podczas kiedy zebrani w Londynie, w westminsterskiej Central Hall, delegaci mniejszych i małych krajów przystępowali do obioru przewodniczącego sesji plenarnej, ministrowie Wielkiej Trójki, w tylnej salce, prowadzili targi i spory o to, jakiego kandydata narzucić walnemu zgromadzeniu UNO. P. Bevin forsował kandydaturę socjalisty Spaaka, belgijskiego ministra spraw zagranicznych, ale napotkał na opór delegata sowieckiego Gromyki, zastępującego dotąd Wyszyńskiego, jako głównego delegata sowieckiego; Gromyko, w myśl instrukcji Mołotowa, dążył do ubicia kandydatury socjalisty Spaaka, jednego z promotorów koncepcji bloku krajów zachodnio-europejskich, forsował natomiast kandydaturę Trygvy Lie'a, norweskiego ministra spraw zewnętrznych, zyskując, co jest znamienne, poparcie P. Byrnesa. Jednakże, kiedy przyszło do głosowania, P. Byrnes nie poparł otwarcie kandydatury Trygve Lie'a; większością głosów obrany został przewodniczącym Spaak, podczas kiedy cała grupa satelitów moskiewskich, w tem i plagjator Rzymowski, głosowała za Trygve Lie, forsowanym przez Moskwę.

Już te pierwsze publicznie dokonywane wybory przewodniczącego, wykazały iż Wielka Trójka jest wewnętrznie rozbita, że trzymający się dotąd z trudem front anglo-saski jest również pęknięty, co jest bodaj największym sukcesem sowieckim, chocież takie pęknięcie jest rezultatem całkowitej dezorjentacji zewnętrzno-politycznej Washingtonu. Rozbicie Wielkiej Trójki ujawniło się również w czasie wyborów niestałych członków Rady Uno, kiedy sowiecki Gromyko starał się na gwałt wepchnąć swego kandydata wysuwając znowu Trygve Lie, pomimo, że uprzednio ułożona, przy współudziale tegoż samego Gromyki, lista kandydatów, nie obejmowała zupełnie kandydatury norweskiej. Sam Trygve Lie, zorjentował się szybko, że Gromyko używa kandydatury norweskiej jako piłki w grze intryg i przetargów pomiędzy wielkiemi mocarstwami i kandydaturę swoją wycofał. Wynik jednak był taki, że przeciwnicy narzucania kandydatur przez Wielką Trójkę, skorzystali z próby nowej intrygi sowieckiej i wysunęli kandydaturę australijskiego ministra spraw zagranicznych Evatta, przeciwnika hegmonji Wielkiej Trójki czy Wielkiej Piątki wewnątrz UNO. Wreszcie, zabiegi Gromyki, zmierzające do odłożenia wyborów do głównych komisji, do czasu przybycia do Londynu Wyszyńskiego, wykazały znowu rozbieżności, istniejące wewnątrz Wielkiej Trójki, albowiem przeciw propozycji delegata sowieckiego wypowiedział się zarówno P. Byrnes jak i P. Bevin.

Komicznie wyglądało wyskakiwanie marjonetek moskiewskich: Manuilskiego, starego komunisty rosyjskiego, mianowanego przed niespełna rokiem ukraińcem, a także Rzymowskiego, Masaryka, którzy, jak pociągani przez Gromykę sznurkami, pajace, deklarowali poparcie propozycji delegata moskiewskiego. Wybranie, w tych warunkach, Polski do Rady UNO, jako członka niestałego, oraz obranie niejakiego Wacława Konderskiego, na przewodniczącego komisji ekonomicznej, jest dla Polski bez znaczenia; są to tylko pionki, mające wzmocnić pozycję Moskwy wewnątrz UNO; kandydatury niby polskie były forsowane przez Moskwę tak samo jak i kandydatura ukraińca Manuilskiego.

Niewątpliwie, ujawnione już w czasie działań przygotowawczych, wyborczych, wewnętrzne rozbicie Wielkiej Trójki i podział na bloki wewnątrz UNO, będzie się powiększać, kiedy dojdzie do rozważania spraw konkretnych, zahaczających o wielkie interesy polityczne i gospodarcze wielkich mocarstw. Albowiem łatwiej jest, chociaż z wielkim trudem, skleić statuty i ułożyć formuły niejasne i rabulistyczne, aniżeli znaleść rozwiązania zagadnień, co do których każde wielkie mocarstwo ma własne, odmienne interesy i pożądania.

Dowodzi tego najlepiej całkowite fiasko polityki P. Byrnesa na Bałkanach. Ani w Bułgarji ani w Rumunji sprawa "zdemokratyzowania" tamtejszych rządów nie została pozytywnie załatwiona. Wyszyński, jako członek komisji trilateralnej uczynił wszystko, co mógł, aby ani rumuński Groza, ani bułgarski Georgjew — za którym, jako faktyczny władca, stoi komunista Dimitrjew — nie utracili niczego z dyktatorskiej władzy, jaką sprawują, działając uciskiem i terrorem, na podobieństwo rządów Bieruta w Polsce.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

WAR RELIEF SERVICES — NCWC PROWADZI JUŻ SWĄ AKCJĘ W POLSCE

W ubiegłym tygodniu na konferencji prasowej w siedzibie War Relief Services w New Yorku została potwierdzona wiadomość, że w połowie grudnia przybył do Gdyni pierwszy transport towarów reliefowych wysłany przez wspomnianą organizację dla ludności w Polsce. Transport ten wagi 325,000 funtów, zawierał lekarstwa, witaminy, skoncentrowaną żywność oraz ciepłą bieliznę i obuwie dla dzieci. Jak bardzo ta pomoc dla ludności jest potrzebna wynikało to niemal z każdego zdania ks. dr. Swanstroma, zastępcy dyrektora centralnego biura N. C. W. C. Ks. Swanstrom wraz z ks. A. Wycisłą, kierownikiem działu polskiego w War Relief Services — znanego już nam z nadzwyczaj owocnej pracy w ośrodkach uchodźczych w Afryce Wschodniej, Egipcie, Palestynie i we Włoszech — odbyli kilkomiesięczną podróż po obozach wygnańców, deportowanych i jeńców we Francji, Belgji, Holandji i Niemczech, a w końcu przez trzy tygodnie badali położenie ludności w Polsce. Trasa ich prowadziła z Gdyni poprzez Warszawę, Częstochowę, Kraków, Katowice, Poznań i z powrotem do Warszawy.

Ks. Swanstrom był we wszystkich większych miastach zachodniej Europy przez które przeszła burza wojenna, od Rotterdamu do Berlina włącznie. Oświadczył on, że zniszczenie Polski, nietylko Warszawy, jest okropne i przekracza wszystko co widział w innych krajach. Jest to głos bezstronnego Amerykanina i tutaj nasuwa się uwaga, jak mogła Anglja i Ameryka pozbawić Polskę prawa do odszkodowań i zgodzić się, by Polska zadowoliła się tylko tem, co jej Rosja raczy przyznać ze swoich łupów wojennych.

Obserwacje i stwierdzenia ks. Swanstroma przyniosły nowe oraz potwierdziły już posiadane przez nas wiadomości o straszliwym położeniu ludności w Polsce, o braku żywności, względnie o bardzo małych przydziałach, a z drugiej strony o wielkich zapasach wszystkiego na oficjalnym czarnym rynku, o niskich zarobkach, i o wysokich cenach rynkowych.

Na odcinku odzieżowym sytuacja jest analogiczna. Ks. Swanstom widział w grudniu, w czasie zawiei śnieżnej dzieci zdążające do szkoły boso, niektóre zaś miały nogi zawinięte tylko w szmaty.

Oto obrazek z raju, który jest zaprowadzany w Polsce przy pomocy "przyjaznego" sąsiada.

Ks. Swanstrom oświadczył, że z wyników swej misji jest zadowolony, gdyż otrzymał zapewnienie, że towary wysyłane przez War Relief Services będą rozdawane w Polsce przez towarzystwo Caritas wszystkim bez żadnej dyskryminacji, którzy tej pomocy będą potrzebowali. Towarzystwo Caritas, jedna z czołowych organizacji społecznych, prowadziło przed wojną wszechstronną akcję charytatywną i cieszyło się ogólnym uznaniem. Wiemy również, że podczas okupacji niemieckiej, Caritas zapisała się chlubnie w akcji pomocy ludności. Towarzystwo Caritas ze swą wielką siecią organizacyjną, rozporządzające licznym i ideowym aparatem pracowników społecznych, zdaje się być w dzisiejszych warunkach organizacją charytatywną, która jest jedną z najlepiej przygotowanych do bezstronnego i sprawiedliwego rozdziału towarów reliefowych.

War Relief Services po zapoznaniu się z wynikiem misji ks. Swanstroma, i ks. Wycisło, wysłały natychmiast do Polski na adres Caritasu drugi transport wagi 250,000 funtów, zawierający przeważnie mleko skondensowane dla dzieci.

Niech więc Polonja Amerykańska i społeczeństwo amerykańskie hojnie popiera akcję War Relief Services i niech płyną dalsze transporty tej organizacji dla ludności polskiej, gdyż wydaje się nam, że nareszcie towar reliefowy z Ameryki dostanie się do rąk

naprawdę potrzebujących i nie będzie używany dla żadnych celów politycznych.

Coraz częściej i coraz więcej docierać do nas będą wiadomości o ciężkim położeniu ludności w Polsce.

Współpraca z Ameryką jest nieodżowna tak dla ratowania ludności od śmierci głodowej, chorób jak również dla odbudowy społecznej i gospodarczej, a nadewszystko dla uratowania niepodległego bytu Polski. Dotychczasowa współpraca i przyjaźń tylko z Rosją powiększyła tylko zniszczenie i nędzę, rozpacz i rozprzężenie we wszystkich dziedzinach życia.

ZEBRANIE DOROCZNE INSTYTUTU IM. PIŁSUDSKIEGO

Odbyło się w New Yorku doroczne zebranie Instytutu im. Józefa Piłsudskiego przed którym w obecnej zwłaszcza chwili gdy w Kraju i zagranicą idzie zorganizowana akcja mająca na celu sfałszowanie naszej historji — stają zadania niezwykłe, i którego praca wskutek tego dziś zwłaszcza nabiera najgłębszego znaczenia. Zebranie zagaił prezes Instytutu p. Stefan Łodzieski z Cleveland, powołując na przewodniczącego inż. Zygmunta Protassewicza, na sekretarza zaś p. Albina Bielawskiego z Trenton. Członek Instytutu p. Zygmunt St. Klingsland, odczytał następnie pracę swą pt. "Od Swiętego Przymierza do Wielkiej Trójki" będącą niezwykle ciekawą analogją historyczną, opartą o nieznane szerszemu ogółowi dokumenty, tyczące się Kongresu Wiedeńskiego, planów i metod Aleksandra I i stanowiska Anglji w tych sprawach, wyrażonego w pismach lorda Castelregha. Odczyt, zarówno naukowo rzetelny jak też doskonale ujęty politycznie, był świetnym obrazem charakteru i poziomu prac, które Instytut prowadzi. Z dłuższego sprawozdania dyr. Wacława Jędrzejewicza, dowiedzieli się zebrani o tych pracach, dokonanych w roku bieżącym jak również o zamierzeniach na przyszłość, wśród których na pierwszem miejscu znajdują się wydanie dwutomowe p. t. "Sprawa polska a parlament angielski w latach 1939-1945" oraz wielki film dokumentarny o życiu Józefa Piłsudskiego. W dyskusji rozwiniętej nad przedstawionym sprawozdaniem min. Matuszewski zwrócił uwagę na rosnące wciąż obowiązki Instytutu, z tego wniosek jak bardzo zasługuje on na poparcie. Dokonane wybory dały rezultaty następujące: Stefan Łodzieski z Cleveland — prezes, Ignacy Matuszewski — wice-prezes, Michał Kranc — skarbnik, Piotr Kulpiński z Filadelfji — zastepca skarbnika, Marta Kozłowska z Union City, N. J. — sekretarz. Członkowie Rady: Henryk Floyar Rajchman, Janina Węgrzynkowa, Kazimierz Wierzyński, Jan Z. Dodatko z Detroit i L. A. Kupferwasser z Chicago. Do Komisji Rewizyjnej weszli: Zygmunt Krosnowski, Lucjan Nowiński z Bayonne, N. J., Walery Starczewski, jako zastępcy: Wincenty Sabierkiewicz i Jan Kowalski.

WILSON A POLSKA

Komitetowi Narodowemu Amerykanów Polskiego Pochodzenia Oddz. 3 i 77 należy się wielkie uznanie od Polonji nowojorskiej za urządzenie w dniu 13 bm. uroczytości w Washington Irving High School z okazji rocznicy powstania styczniowego. Gorące patrjotyczne przemówienie na temat powstania wygłosił gen. S. Kwaśniewski, zaś red. St. Strzetelski zobrazował we wnikliwem ujęciu zasługi prezydenta Wilsona w odzyskaniu niepodległości Polski oraz rolę ówczesnej Polonji przy formowaniu zagranicznej polityki amerykańskiej. W zakończeniu zaapelował do Polonji by i dzisiaj zdobyła się na ten wielki i bezkompromisowy czyn.

W zastępstwie prezesa F. Januszewskiego przemówił red. Karasiewicz z Detroit, który po śmiałem omówieniu dzisiejszej polityki Stanów Zjednoczonych, wezwał zebranych do pracy i walki o wzniosłe zasady wolności i demokracji.

Hymny narodowe oraz menueta Paderewskiego odegrała p. M. Koszarek, deklamowała p. A. Mazur, chór Echo odśpiewał pieśni polskie, a p. H. Kicz zagaił uroczystość w języku angielskim i odczytał rezolucję do prezydenta Trumana, którą zebrani przyjęli jednogłośnie. Cały program uroczystości prowadził prezes Oddziału 3 p. inż. Kałucki.

PREZES ROZMAREK U CHORWATÓW

Za przykładem Polaków, Litwini, amerykańscy zorganizowali już swój Kongres, a obecnie czynią to Amerykanie- Chorwaci.

Na konwencji, jaka się odbyła w Croatian Hall w Chicago z udziałem 500 delegatów — reprezentujących organizacje kroackie z całego kraju — postanowiono zorganizować Kongres Kroacko-Amerykański i współpracować z Amerykanami pochodzenia z tych krajów, którym obecnie zagraża agresja Rosji komunistycznej.

Wśród wybitnych gości zaproszonych na konwencję — był również prezes Kongresu Polonji Amerykańskiej, Karol Rozmarek, który w mowie swej powiedział między innemi, że "obecne postępowanie Rosji jest prawie identyczne z postępowaniem hitlerowskich Niemiec przed wojną".

Tak jak ustępstwa Niemcom nie zapobiegały wojnę, tak też ciągłe ustępowanie Rosji z krzywdą sąsiadujących z nimi narodów — może być powodem nowej wojny światowej.

"Oddanie w niewolę sowiecką demokratycznych narodów wschodniej i środkowej Europy i wydanie ich na łup azjatyckim hordom nie było chyba celem obecnej wojny, w której zginęło tylu amerykańskich żołnierzy. Jest naszym obowiązkiem jako amerykańskich obywateli ostrzegać kogo należy przed niebezpieczeństwem, które grozi naszemu krajowi, światu i cywilizacj chrześcijańskiej" — mówił prezes Rozmarek.

ZGON CZESŁAWA ŁUKASZKIEWICZA

Zmarł w Chicago Czesław Łukaszkiewicz, jedna z najbardziej znanych i charakterystycznych postaci polskiego świata dziennikarskiego w Ameryce, jeden też z dziennikarzy polskich, jakkolwiek sądzić jego działalność, najbardziej utalentowanych. Życie jego bogate i burzliwe niosło go z Polski do Ameryki poprzez Wiedeń, Budapeszt, Berlin i Paryż, gdzie Łukaszkiewicz, krakowianin rodem i student uniwersytetu jagiellońskiego, spędził parę lat jako korespondent pism polskich. Przybywszy do Stanów Zjednoczonych w r. 1914 jako delegat Polonji francuskiej do rekrutacji wojska polskiego Łukaszkiewicz rozwija tu odrazu niezwykle ożywioną pracę zarówno dziennikarską, literacką jak też polityczną — organizuje niezliczone oddziały KON i Związku Młodzieży Polskiej. Jako dziennikarz pracował najpierw w Chicagoskim "Dzienniku Ludowym", później wydawał własny "Kurjer Niedzielny", był redaktorem 'Dziennika Polskiego" w Detroit, "Straży" scrantońskiej, współpracownikiem — "Telegramu", „Nowego Świata", „Wiadomości Codziennych". "Dziennika dla Wszystkich", "Dziennika Związkowego", "Dziennika Polskiego" i przedewszystkiem "Ameryki-Echo". W r. 1930-1939 był lektorem Instytutu Morskiego w Warszawie, wice-prezesem Tow. Wydawców w Polsce, napisał też szereg powieści na tle życia Polonji Amerykańskiej oraz liczne broszury.

OPINJE I ZDARZENIA

NOWE "OPJUM DLA NARODU"

Każdego kto śledzi życie Kraju uderzyć musi fakt, że sprawom literackim, teatralnym i muzycznym usiłuje się tam nadać szczególny rozgłos. Nigdy w Polsce nie było tylu pism literackich, co teraz, nigdy nie było tylu teatrów, o których otwarciu donoszą agencje PAP (czytaj: Pisz Albo Posiedzisz). Znając jak własną kieszeń te sprawy i ludzi, którzy wchodzą albo mogą wchodzić w grę, nie dziwimy się gdy przy czytaniu tak obficie wydawanych tam pism, stwierdzamy niski ich poziom, sztubackie dyskusje, okropne poezje zlewane jak dziesiąta woda po kisielu z surrealistów francuskich i tak dalej. Oczywiście są wyjątki wspaniałe, nazwiska i utwory pisarzy z przed wojny, budzące w nas podziw i szczere wzruszenie na myśl, że pióra te przetrwały tak potworne czasy, że nie zniszczył ich żaden ucisk, poprzedni czy obecny.

Ale otacza ich chmara rozjadowionych grafomanów, dla których szkoda byłoby miejsca w każdem poważnem piśmie. Tymczasem to miejsce jest i są te pisma.

W kraju nędzy, głodu lub niedożywienia, chaosu i terroru, cenzury i dyktatury — nagle powódź pism literackich! Co nam to przypomina? Stare metody bolszewickie z czasów rewolucji w Rosji 1917.

Jak wtedy ówcześni dyktatorzy Rosji, tak dziś agenci Sowietów w Polsce, starają się skupić uwagę społeczeństwa na tematach postronnych, oddalić ją od zagadnień najistotniejszych i zająć czem innem, niż losem narodu, preparowanym tymczasem według zaleceń Moskwy bez oglądania się na wolę Polaków.

Czego chcecie, zdaje się mówić pan Bierut, macie pisma i to w ilości nieznanej dotychczas, macie koncerty, macie balety, macie więcej teatrów niż kiedykolwiek, o co wam chodzi? Poco myśleć o Lwowie, o Wilnie, o niedaniu pomocy powstaniu Warszawy, o tępieniu Armji Krajowej i o wszystkiem innem co się dziś w Polsce dzieje? Za to daję wam sztukę i niech wam to wystarczy!

Znane metody. Znany sposób ich stosowania. Gdy sztuka, to nowe "opjum dla narodu", przestanie działać, znikną pisma, umilkną pisarze a przemówi czrezwyczajka obywatela Radkiewicza. Czy inaczej było w Rosji po miodowych miesiącach rewolucji?

PIĘĆ ZBRODNI

Z Polski nadeszły ostatnio wiadomości, że zginęło tam pięciu działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Oto ich nazwiska: Kojder, Wiatr, Wrona, Ściborek, Sokołowski. Zabici oni zostali w sposób skrytobójczy. Sprawców zbrodni nie ujęto, śledztwo nie dało żadnych skutków. Szef czrezwyczajki warszawskiej, Radkiewicż, wydał specjalny komunikat zrzucający oczywiście winę... na "faszystów" polskich. Zabici uważani byli powszechnie za najwybitniejsze osobistości w Stonnictwie Ludowem, które usiłuje przeciwstawić się dyktaturze agentów okupacyjnych. Wolni Polacy wiedzą co o tych zbrodniach sądzić.

NAGRODA ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ

Zofja Nałkowska, od niedawna najgorliwsza poplecznicka rządów bierutowskich w Polsce, i członkini t. zw. Krajowej Rady Narodowej z ramienia PPR, otrzymała z warszawskiego

ministerstwa kultury 100,00 złotych jako nagrodę za powieść "Węzły życia". Drugą nagrodę w wysokości 15,000 złotych otrzymał Leon Kruczkowski za powieść "Pawie pióra".

Ciekawe jest to, że pan Kruczkowski jest sam wiceministrem ministerstwa, które przyznaje nagrody. Nie bez pikanterji jest również fakt, że "Pawie pióra" są powieścią napisaną i wydaną przed wojną w Polsce "faszystowskiej", "reakcyjnej" i "obskuranckiej".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że obie te nagrody literackie są przedewszystkiem "nagrodami za wierną służbę".

Z POWODU PRZEOCZENIA...

Skradziony prawdziwej Polskiej Partji Socjalistycznej "Robotnik", wydawany teraz przez fałszywą PPS w Łodzi, w numerze 339 z dnia 2-go grudnia ub. r. zamieścił wiersz nieznanego bliżej w literaturze Juljana Krzyżewskiego p. t. "Do ciebie, Warszawo". W wierszu tym autor wspomina dawną Warszawę, Belweder a nawet marszałka Piłsudskiego i Wieniawę i mówi m. i.; "W legendzie wstaje nasza przeszłość, której nie cofniesz ani zmienisz",

Ten sam "Robotnik" w numerze 341 z dnia 4-go grudnia ub. r. zamieszcza następującą notatkę: "Wiersz Juljana Krzyżewskiego "Do ciebie, Warszawo", który ukazał się w "Robotnku" z dn. 2 b. m., umieszczony został z powodu przeoczenia redaktora działu literackiego gazety".

Oto swoboda myśli i wolność prasy w Polsce!

NIEZNANI

Jean Denmiller, korespondent dziennika paryskiego L'Aube, zdając sprawę ze swej podróży do Polski w ten sposób charakteryzuje głównych agentów Moskwy narzuconych Polsce jako "rząd tymczasowy".

"Życiorys Bieruta, jak dotąd nie został ogłoszony. Drugą najważniejszą po Bierucie osobą jest Gomółka, którego życiorys jest nieznany. Ministrem bezpieczeństwa publicznego jest Białorusin, Radkiewicz. Poprzednia jego działalność jest nieznana".

"KRZYŻE I MIECZE" — NOWY TOM WIERSZY WIERZYŃSKIEGO

Jako następne po "Arii z kurantem" Lechonia wydawnictwo "Biblioteki polskiej", ukaże się nowy tom wierszy Kazimierza Wierzyńskiego pod tytułem "Krzyże i miecze". Zbiór ten obejmie wiersze poety pisane w latach 1942 — 1945. Będzie to ósma książka Wierzyńskiego napisana od czasu wojny, a licząc wszystkie wydania, wznowienia dawnych książek i przekłady — piętnasta publikacja w ciągu pięciu lat.

ZGON ADAMA DIDURA

Zmarł w Katowicach w 71 roku życia Adam Didur, świetny bas polski, bardzo znany w Ameryce, gdyż był przez szereg lat pierwszym basem, Metropolitan Opera w New Yorku w czasie największego jej rozkwitu. Didur urodził się w Sanoku, rozpoczął karjerę w r. 1897 w Rio de Janeiro, poczm występował z największym sukcesem w medjolańskiej Scali, w Buenos Aires, w Madrycie, Barcelonie, Warszawie, Petersburgu i w Moskwie. W Nowym Yorku pamiętnym jego tryumfem była pierwsza kreacja "Borysa Godunowa", Musorgskiego w r. 1913 pod dyrekcją Toscaniniego, obok Carusa i Geraldiny Farrar. Pamiętne też zostały nazawsze jego role w „Afrykance", „Złotym Koguciku". „Gianni Schichi", „Złocie Renu", „Manon", „Opowieściach Hoffmana", „Romeo i Julji". Po raz ostatni wystąpił Didur w New Yorku w r. 1937. Był on też przez pewien czas przed ostatnią wojną dyrektorem opery w Warszawie. Prawdziwy w życiu artysta, pełen temperamentu kompan, doskonały przyjaciel zostawia Didur wspomnienia niezatarte jako śpiewak i człowiek.

LISTY DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

W mumerze z 6 stycznia br. "Tygodnik Polski" ogłosił sprawozdanie z "Polish Christmas Evening", który odbył się w Uniwersytecie Columbia 20 grudnia 1945 r.

Zgadzam się oczywiście najzupełniej z krytyką wystąpienia pułkownika Kowalskiego. Niestety jednak sprawozdanie zostało tak ujęte, że czytelnicy mogli odnieść wrażenie, jakoby wszyscy mówcy solidaryzowali się z jego wywodami, a Polski Instytut Naukowy, jako jedną z trzech organizacji zapraszających na wieczór, pokrywał je swoim autorytetem.

Wobec tego zmuszony jestem przypomnieć, że przemawiając bezpośrednio przed pułkownikiem Kowalskim, zająłem stanowisko diametralnie przeciwne, zarówno w oświetleniu roli historycznej Warszawy, jak też w charakterystyce sytuacji współczesnej. Stwierdzam też wyraźnie, że pułkownika Kowalskiego pozyskał jako prelegenta Dr. Coleman, główny organizator i gospodarz wieczoru. Wobec tego Polski Instytut Naukowy nie może ponosić żadnej odpowiedzialności za treść jego przemówienia.

Zgóry dziękując za ogłoszenie tego wyjaśnienia, łączę wyrazy wysokiego poważania,

O. Halecki.

"Zwracam się z uprzejmą prośbą o stałe przysyłanie nam, t. j. kolegom i mnie, jednego egzemplarza "Tygodnika Polskiego". Należność, gdy tylko zaistnieją warunki, prześlemy.

Jesteśmy t. zw. byłymi jeńcami wojennymi z roku 1939 z kampanji polsko-niemieckiej, czyli ludźmi o których świat dziś mówi, że lepiej zamilczeć o nich, tak zresztą jak i o niepodległości i prawdziwej wolności Polski. Proszę te słowa zrozumieć i wybaczyć. To tylko luźna refleksja. Echo tego co boli i szarpie trzewia... Mimo wszystko i wbrew wszystkim i wszystkiemu wierzymy w ostateczne zwycięstwo naszej Sprawy, gdyż mamy wprawdzie tylko jednego, ale zato najwierniejszego i najpotężniejszego Aljanta — Boga. Ziemscy "aljanci", to..., mówiąc delikatnie, nic nie warci..."

Obernwohlde — Niemcy

Apelujemy gorąco do naszych czytelników o zakupienie prenumerat dla obozu w Obernwohlde!

. . . O działalności Polonji Amerykańskiej dowiadujemy się w największej mierze z "Tygodnika Polskiego"...

. . . Przy okazji pozwolę sobie, w imieniu własnem i wszystkich mieszkańców Osiedla, przesłać podziękowanie i uznanie za wysoki poziom artystyczny i moralny "Tygodnika Polskiego". Jest to bez przesady najlepsze pismo, jakie mamy możność, od czasu do czasu, drogą pośrednią, dostawać i czytać na uchodźctwie. Życzymy przeto p. Redaktorowi i "Tygodnikowi" wytrwania w nieustępliwem i mocnem stawianiu naszej sprawy. Jest to dziś najlepszy sposób służenia Polsce. Szczęść Boże!

Ks. Fr. Pluta Kpl.
Kierownik Osiedla
Osiedle Dzieci Polskich
Balachadi, Jamnagar
Indje

Polish Town Major
Beyrouth — Liban
Ks. Zaorski Franciszek

Wielce Szanowny Redaktorze:

Uprzejmie proszę o przesyłanie pisma "Tygodnik Polski" pod wyżej wskazanym adresem. Obecnie na tutejszym terenie znajduje się już kilka tysięcy uchodźców polskich. Obok nich jest duże grono młodzieży uniwersyteckiej i gimnazjalnej, której musi się dać jakieś poważne pismo. W dzisiejszych ciężkich czasach dla nas, jest tu szczególnie potrzebne pismo, które wskazuje, że nie wszystko stracone, a takiem jest pismo pańskie.

Mnie osobiście, jako kapelanowi studentów, specjalnie zależy, by "Tygodnik Polski" znalazł się w czytelni studentów.

Pozostaję w głębokim szacunku
Ks. Zaorski Franciszek.

Kto z czytelników zechce łaskawie opłacić prenumeratę dla osiedla polskiego w Libanie?